



Młodzieżowa

Agencja

Wydawnicza

RSW

„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

ECHO KRAKOWA

ul. Wiślna 2

31-007 Kraków

Nr z dn.

1 0 2 — — — — 2 8 -05-91

W „Ludowym” — jak w szklarni!

JERZY Stuhr powraca do Teatru Ludowego. Tym razem wystąpi wyłącznie w roli reżysera, inscenizując „Poskromienie złoŹnicy” Shakespeare’a w nowym przekładzie Stanisława Barańczaka. Zapytany o pracę z tutejszym zespołem Jerzy Stuhr stwierdza: „W Teatrze Ludowym są ludzie, którym ufam i którzy mają do mnie zaufanie. Uczyłem ich w Szkole Teatralnej, znam ich i lubię. Tutaj jest bezpiecznie. Ciepło. Jak w szklarni. Takie warunki nie są oczywiście gwarancją sukcesu, ale znacznie ułatwiają robotę. Nie grozi żaden kataklizm. Owoce mogą spokojnie dojrzewać”.

PREMIERA 5 VI 1991 o godz. 19.15.

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

ECHO KRAKOWA

ul. Wiślna 2

31-007 Kraków

Nr z dn.

107

5-06-91

26



ŁAMANIE niepokornych niewiast, to uciecha mężczyzn i w epoce Szekspira i współcześnie. Rokujemy więc wielki sukces dzisiejszej premierze „Poskromienia złoŹnicy” Williama Szekspira w Teatrze Ludowym. Reżyserem spektaklu jest JERZY STUHR, który poskromił cały zespół na czele z Kasią, którą gra pełna wdzięku, MAŁGORZATA KOCHAN, wyręczając debiutującego, w tak poważnej roli Petruchia — PIOTRA URBANIAKA (wspólnie na zdjęciu). Na marginesie, zaplanowała w teatrze moda przeniesienia widowni na scenę. Tą metodą w dzisiejszej premierze uczestniczyć może zaledwie 120 osób, a wszystko dzieje się w barwnej pięknej scenografii ELŻBIETY KRYW-

SZY z muzyką JOLANTY SZCZERBY, w układzie choreograficznym JACKA TOMASIKA. Aktorzy też wierzą w sukces, traktując jako dobry omen narodziny „premierowej córki”, bowiem przed dwoma dniami szczęśliwym tatą został grający w spektaklu Tomasz Schimscheiner, mamą jest Beata, również aktorka Teatru Ludowego. (j.r.)

Fot. Jadwiga Rubiś



"GŁOS"
SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

CZAS

ul. Wielopole 3. II p.
31-072 Kraków

KRAKOWSKI

Nr 130 8 - 9 - 06 - 91 z dn.

„Pokaż mi swój język, a powiem Ci kim jesteś”. Taką zasadę propagował prawie 20 lat temu Stanisław Barańczak. Teraz, jako tłumacz Szekspira pokazał język czystej poezji i dowcipy wyszukanego kalam-buru i prozaizmu, współlistniejących ze sobą bez sztycy dla jednolitości przekładu. Udo-wodnił, że język autora „Po-skromienia złoŃnicy”, obłożony tyloma dotychczasowymi prze-kładami, nie musi wcale sta-wać aktorowi kolkim w gardle. Pokazał wreszcie po raz siódmy język tym wszyst-kim, którzy mówili, że po

Z teatru

POSKROMIENIE ZŁOŚNIKÓW

Słomeczyńskim polscy tłuma-cze Szekspira przez najbliższe pięćdziesiąt lat będą bezro-botni.

Również reżyser nie trzyma języka za zębami. Pokazuje go zbuntowanemu widzowi, który protestując przeciwko niektó-rym niewyszukanym pomy-słom, daje się przecież wcią-gać na scenę. Bo właśnie na

scenie odbywa się obmyślana przez Jerzego Stuhra zabawa w Szekspira i z Szekspirem. Tam zgodnie spotykają się artyści i wprowadzona wej-ściem dla aktorów publicz-ność. Radość, z jaką „ludow-cy” odgrywają wśród obnażo-nej teatralnej maszynierii tę komedię o udawaniu udziela się nawet największym mal-

kontentom. Jeżeli reżyserowi chodziło o poskromienie złoś-liwości poprzez śmiech, to w przypadku niżej podpisanego udało mu się to całkiem nie-źle.

MAREK MIKOS

William Szekspir: „Poskro-mienie złoŃnicy”. Przekład, specjalnie na tę premierę: Stanisław Barańczak. Reżyse-ria: Jerzy Stuhr. Premiera: Teatr Ludowy w Krakowie, 5.06.1991 r.



Młodzieżowa

Agencja

Wydawnicza

RSW

„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA WYBORCZA

ul. Iwicka 19

00-725 Warszawa

Nr 1 3 3 z dn. 1 0 -06-91

Stuhr rozśmiesza Szekspira

**„Poskromnień złoŹnicy”
widziałem kilka, ale na
żadnym tak się nie
śmiałem. Śmiali się
wszyscy, prawie przez
trzy godziny. Było coś
oczyszczającego w tym
śmiechu, stał się w
pewnym momencie jakby
wartością samą w sobie.
Nawet – tak –
usprawiedliwieniem
Szekspira.**

Bo od jakiegoś czasu, od lat
szczerze mówiąc, nie bardzo
wiadomo co z Szekspirem robić.
Głównie z komediami. Z wyjątkiem
„Snu nocy letniej” i „Jak
wam się podoba” (choć czy to
komedia?) wszystkie właściwie
jakieś przygłupawe, za prze-
prośzeniem uczonych szekspiro-
logów. Zupełnie nie na nasze
uszy i serca. Usprawiedliwiamy
pana S. tak i siak, ale w głębi
duszy kołaczę się podejrzeniem,
że to po nic.

A tu Barańczak, tłumacz nie-
zwykły, proponuje oto nowy
kducz do komedii Szekspira.
Właśnie śmiech. Przede wszyst-
kim śmiech słowa. I intelligen-
cję słowa, które dlatego śmie-
szy, że jest właśnie intelligen-
tne. Słowa komediowych boha-
terów Szekspira są zresztą z
reguły inteligentniejsze od nich
samych. Przybierają ciała głup-
ków, fantastów albo łobuzów

i śmieją się razem z nami.
I może, po cichu, także z nas.
Dobre odczytanie szekspiro-
wskiego śmiechu to więcej niż
połowa sukcesu. Jerzy Stuhr
może ani nawet myślał, jak
czarodziejską pałeczką Prospera
dostanie od Barańczaka, gdy
zamawiał u niego nowy prze-
kład. I chwiała mu, że nie prze-
oczył ni przecinka w reżyser-
skiej robocie. Przeciwnie – w
tym przedstawieniu aktorzy ba-
wią się słowami nie gorzej niż
my słuchaniem i oglądaniem
aktorów. I nareszcie wiadomo,
po co Szekspir był wielkim
poetą. Nauki moralne płynące
z jego komedii... No tak, oczy-
wiście. Ale dziś śmieją się z
nich najmłodsze licealistki. Zaś
jeśli śmieją się rzeczywiście –
to dlatego, że rozśmieszono sobą
słowa okazują inny, wspaniale
bezzinteresowny wymiar naszego
miedzykulzkiego porozumienia.

Do tego śmiechu został za-
przegnęty dosłownie cały teatr.
I foyer, i korytarze, i scena, i
widownia wreszcie, która też
siedzi na scenie. Tak jak Pa-
rańczak bawił się słowami,
Stuhr bawił się teatrem. Od po-
mysłów aż kipi. Kilkuwiersowe
dialogi, innemu reżyserowi nie
zaprzatające głowy dłużej niż
minutę, tu urastają do oso-
bnych epizodów, dziełek samych
w sobie. Wszystko, na czele ze
scenografią i aktorstwem, ba-
lansuje na delikatnym pograni-

czu pastiszowej szmiry i bra-
wurowego kabaretu. Konwencje
nie mają znaczenia, wszystkie
chwytły dozwolone. Kasia-zło-
nica w pantalonach i gołym
szkielecie pod krynoliną doku-
cza Biance wieszając ją za rękę
i podciągając na linie. Petru-
chio zjawia się na własny ślub
przebrany za punka. Finałna
scena jest parodią uczt rzym-
skich.

Aktorzy, widać, mają frajdę
nie mniejszą od widzów, a by-
łoby co najmniej niełojalnością
wobec pozostałych wyróżniać
kogośkolwiek, wszyscy zasłużyli
na brawa, którymi ich hojnie
obdarzyła premierowa publicz-
ność. Nie szukajmy „wielkich
ról”, zaś określenie „wielkich
jak na ten teatr” krzywdziłoby
niejednego naprawdę doskona-
łego w tym spektaklu aktora.
Nie chodzi o cenzurki. Chodzi
o wygraną teatru. A jeśli wy-
grywa teatr, wygrywamy i my,
wybredni widzowie.

Tadeusz NYCZEK

**Teatr Ludowy w Nowej Hucie:
„Poskromnienie złoŹnicy” Wi-
lliamsa Szekspira w przekładzie
Stanisława Barańczaka. Reży-
seria Jerzy Stuhr. Scenografia
Elżbieta Krywka. Muzyka Jo-
lanta Szczerba. Choreografia
Jacek Tomasiak. Premiera 5
czerwca 1991.**

GONIEC TEATRALNY 17.VI.91

ŚMIECHU WARTO



„Poskromienie złoŹnicy” w Teatrze Ludowym

Fot. Z. Lagocki

Po pierwszych trzydziestu minutach premierowego przedstawienia „Poskromienia złoŹnicy” w Teatrze Ludowym, mało kto zaryzykowałby opinię, że uczestniczy w wydarzeniu artystycznym. Albo może lepiej powiedzieć wprost: wyglądało na to, że ma być śmiesznie, a było nudnawo. Później stawało się coraz weselej, aż w końcu chór recenzentów musiał potwierdzić na piśmie sukces reŹysera. „Musiał”, to jedyne właściwe słowo. Ponieważ nikt mnie nie upowaŹnił do pisania w imieniu chóru, powiem za siebie i za widzów, których zdołałem podpatrzeć.

Jakie środki przymusu zastosował wobec nas Jerzy Sthur? Przede wszystkim: krótki dystans. Przedstawienie rozpoczęło zaraz za wejściowymi drzwiami, następnie, oślepiając nas nawet nieco reflektorami, kazał podąŹyć za aktorami z foyer na scenę, tam też nie wypuścił nikogo spod kontroli. W pełnym świetle oglądaliśmy więc grających aktorów i widzów z naprzeciwka. ObnaŹając przed nami maszynę teatralną kuŹli, byśmy zrewanŹowali się tym samym i pokazali swoje nieskrępowane reakcje. Po chwili wyczekiwania zorientowaliśmy się, że to puła-

kalamburów i wyszukanych dowcipów, sąsiadujących z nieprzebiegającym w środkach „humorem gminnym”. Poezja czysta spotyka się w tym tłumaczeniu z wulgaryzmem. Czy teatr mógł marzyć o lepszym pretekście do wykazania swojej potęgi? Do przedstawienia swych wszechstronnych mocy?

Mówiąc o środkach przymusu, jakim posłuŹył się Sthur, nie sposób przemilczeć zasług polskiej, którą dysponował. Aktorzy... Oglądany wreszcie nie tylko z okna autobusu Teatr Ludo-

wy, zaczyna powoli objawiać ciekawą indywidualność. W „Poskromieniu złoŹnicy” moim prywatnym odkryciem jest odtwórca roli ojca — Andrzej Franczyk. Zapamiętam też występującego pierwszy rok na tej scenie Piotra Urbaniaka (Petruchio). Cieszę się, że po raz pierwszy mogę posprzecznać się z reŹyserskim Teatru Ludowego o decyzję obsadę. Odnoszę wrażenie, że w roli Kasi o wiele lepiej od Małgorzaty Kochan radziłaby sobie jej siostra Aldona Janikowska. Czy pamiętacie ją państwo z „Czary zebraŹej”?

Radość tworzenia teatru emanuje ze wszystkich grających w „Poskromieniu złoŹnicy” aktorów i udziela się obserwującemu ich z bliska widzowi, który jest wdzięczny Jerzemu Stuhrowi za to, że zrobił przedstawienie co się zowie: śmiechu warte.

Marek MIKOS

William Szekspir: „Poskromienie złoŹnicy”
Przekład: Stanisław Barańczak
ReŹyseria: Jerzy Sthur
Scenografia: ElŹbieta Krywsza
Premiera: Teatr Ludowy w Krakowie, 5.06.1991 r.

MUZYKA

Ewa Demarczyk

„Oto prawdziwe »theatrum mundi«. Zrozpaczeni jego bohaterowie z rzadka tylko pozwalają sobie na błady uŹmiech, opowiadają o swych tragediach w różnych językach, choć mówią najczęściej o tym samym — o nieszczęŹliwej miłości...”

Postacie tego teatru otaczane są przez Ewę Demarczyk szczególną czułością, opowiadając o ich losach, sama je niejako współtworzy. DoŹe posłuchać piosenek sprzed kilkunastu lat by doŹyŹeć jak bardzo są przemienione: dojrzały, pogłębiły swój smutek lub otoczyły go cieniutką warstewką ironii. Bo właśnie ona rozŹwieŹla czasem smutek tego teatru. Nie jest to jednak grząca ironia, którą artystka chciałaby swych bohaterów oŹmieszyć. PrzecięŹ zarówno Rebeka jak i artystka kabaretowa z „Czerwonym blaskiem otoczona” wyprowadzone przez Demarczyk z ich Źwiata lat 30-tych i postawione na scenie dziś są tylko trochę niemodne i nieco speszone — ale jakŹe żarliwie śpiewają o swojej wielkiej miłości.

W korowodzie postaci widać i smutnego skrzypka Hercowicza „co grał z pamięci jak z nuty”, poległe pokolenie wojennej młodzieŹy z wierszy Baczyńskiego, duchy zapalające bezzeleŹnie lampę w ogrodzie w wierszu Trakla... cały magiczny teatr cieni, w którym Demarczyk porusza się jak jego prawdziwa pani, pokazując nam całą swą nad nim władzę. I nagle pojawia się jak postać z innego Źwiata Mandelsztamowska Cyganka — ta wie o ludziach wszystko, jej śmiech tnie bezliŹownie, dŹwicz w nim i znajomość Źwiata — i gorycz niewiary. I zaraz po tym cichuteńkie „Do babuni” Cwie-

ty, która wyczarowana wielką sztuką Ewy Demarczyk zdaje się toczyć wśród bezmiaru wszechŹwiata w poszukiwaniu

dobroci i miłości...” — napisał Józef Opalski w albumie „Ewa Demarczyk live” wydanym w 1982 r.



PRZEBÓJOWISKO

TOP 10 „Przeboje tygodnia” not. 6 z dnia 21.VI.91 r.

KRAJ

ZAGRANICA

WEEKEND
dodatek
do GAZETY
WYBORCZEJ
14.VI.91

TEATRY

STARY TEATR — DUŹA SCENA (Jagiellońska 1): Sofokles „Antygona”, reŹ. A. Wajda, scenogr. K. Zachwatowicz, muz. S. Radwan, wyk.: E. Kolasinska, E. Karkoszka, T. Huk, pt. g. 16; Z. Krasieński „Mazg”, reŹ. D. Latur, muz. J. Kluzowicz, scen. A. Kucharska-Cybuch, wyk.: J. Romanowski, M. Rasiewicz, B. Paluch, sb. nd. g. 16; W. Szekspir „Hamlet”, reŹ. A. Wajda, muz. S. Radwan, wyk.: J. Gratek, T. Bu-

jon „Sauna”, reŹ. K. CiciŹwilli, scenogr. J. Boduch, wyk.: T. Piasecki, W. Wziątek, S. Jędrzejewski, pt.-nd. g. 19.30.

STU (al. Krasieńskiego 16): K. Weill „Seksualne zło”, songi K. Weill, reŹ. J. Opalski, wyk. B. ZawiaŹiak, J. Peszek, pt. g. 22.15.

OPERA i OPERETKA (Lubicz 48): F. Lehar „Paganini”, reŹ. E.J. Pflieger, scenogr. E. Strake, wyk.: K. Tybrowska (Z. Rogala), B. SzyŹnalski, K. Bednarek (J. Zakrzewski), K. RóŹawicz (P.

W lustrze sceny



Galeria pysznych postaci: Zbigniew Horawa – Vincencjo, Piotr Urbanik – Petruccio, Małgorzata Kochan – Katarzyna złoŹnica i Roman Garnarczyk, słuĢa Petruccia

Fot. Zbigniew Lagocki

Miłość sił uŹyczą

„I ty się staraj, na wawrzynach nie leŹ. Tak bęĢdzie w tóŹku jak sobie poŹcielesz...” Taka jest pointa „Poskromienia złoŹnicy”. Szekspir był łaskawy dla stworzonych przez siebie postaci. Źadnej nie zgłodził, nie wyprawił przy pomocy bliŹnich na tamtem Źwiat, jak to się dzieje w wielu jego dramatach. Tutaj wszystko przebiega w rytmie komediowo-farsowym. Zwady, potyczki, przekomarŹania koŹczą się na ostrzu języka. Bohaterowie nie pozostają sobie dłuŹni we wzajemnym przechytrzeniu.

„Do czegoŹ miłość sił nam nie uŹyczą”... Cała usłana zabawnymi perypetiami akcja kręci się wokół miłości, w której, podobnie jak w hazardzie, albo się wygrywa, albo przegrywa. Tutaj młodsza córka Bianka, pałająca się do zamąŹpójścia, marzy o tym, aby jej starsza siostra Katarzyna wreszcie wydała się za mąŹ, bo ojciec stawia taki warunek.

Przedstawienie w Teatrze Ludowym w Krakowie-Nowej Hucie mówi o wzajemnym przyciąganiu i odpychaniu następców Adama i Ewy w sposób brawurowy, błyskotliwie, z poczuciem humoru. Jest to istna feria zabawnych scen, zaskakujących pomysłowością rozwiąŹaŹ sytuacji, rysunku postaci o karnawałowym wymiarze przebiegaŹców, inwencji w wypowiedzianiu tekstu. Wszystko balansuje na granicy pastiszu, iskrzy się, jest żywe, barwne. Publiczność oddaje się ochoczo we władze najzdrowszego śmiechu, bawiąc się treścią i formą, które tak dobrze przylegają do siebie. Kolejne etapy poskramiania „skłonnej do wybuchów złoŹy” – jak określa poeta tytułową złoŹnicę Katarzynę – przynoszą wiele teatralnych niespodzianek i oczarowaŹ.

Zapewne owocują w tym spektaklu aktorsko-wodziarskie doświadczenia Jerzego Stuħra, który podpisuje się jako reŹyser. Na scenie styka się pan rektor krakowskiej uczelni teatralnej ze swymi wychowankami. Jako Petruccia, konkurenta do ręki piekielnicy Katarzyny obsadził Piotra Urbanika, grającego dopiero pierwszy sezon. Z młodzieŹcą fanfaronadą i pewnością siebie poddaje wybrankę próbom. Kto kogo przetrzyma? I osiaga swój cel – uŹarzmia przewrotną naturę Kasi, czego nie udało się poprzednio Źadnemu z konkurentów. Nie mieli teŹ wytrwałości i przebiegłości.

W roli Kasi oglądamy Małgorzatę Kochan, która przemienia się z sekutnicy w potulne, łagodne stworzenie. I na domiar wszystkiego inne niewiasty przekonuje do uległości swoim męŹom, uczymienności, posłuszeństwa. AŹ podczas popremierowego spotkania z aktorami Źartowano, czy Stuħr wraz z Szekspirem nie boi się ataku ze strony współczesnych feministek.

tek za to wiernopoddanie tytułowej bohaterki.

Chciałoby się opisać dokładnie całą galerię pysznych ról, jak choćby perwersyjnego paza Biondella (stylowy Tomasz Schlschneider), który nosi się i wyraża w wielce zabawny sposób. Czy teŹ chytrego niezgułę Grumia, słuĢę Petruccia (Roman Garnarczyk). KaŹda z postaci ma okazję rozwijać pawie pióra, wnosi własne tony i kolory do inscenizacji, współgra z pozostałymi. I nie boi się Źadnych karkołomnych zadaŹ.

Katarzyna złoŹnica czyni wymówki swojej siostrze Blance na rozhuŹtanych linach, podciągając je z premedytacją w góre. Niezwykły jest efekt koni wzbliŹających się w niebo, gdy mąŹ chce ukarać knąbmą Kasie zawróceniem z wyprawy do ojca. Wiele jest takich nieoczekiwanych rozwiąŹaŹ. Scenograf ElŹbieta Krywsza podąża za myślą i wyobraŹnią reŹysersa. Wyczarowuje atmosferę włoskich miast (Źaczenie z Krzywą WieŹą w Pizie). W oprawie plastycznej jest wiele fantazji i dowcipu.

Spektakl zaczyna się w foyer od „Przygotowania”; wprowadza nas od razu w nastrój przekomarŹaŹ, wzajemnego płaŹania sobie figli. Potem w ceremonialnym pochodzie aktorzy pociągają za sobą publiczność bezpośrednio na scenę, która jest i miejscem gry, i widownią; pozwala podglądać z bliŹka wszystkie czyny i miny bohaterów.

No i prawdziwą rozkoszą jest słuchanie kwestii i dialogów „Poskromienia złoŹnicy” w przekładzie Stanisława BaraŹczaka. Brzmi tak ŹwieŹo i współcześnie. Poeta nie wahał się nasyć go słownictwem nam bliŹkim, uŹywaniem dzisiejszych słów potocznych. Źongluje nimi po mistrzowsku, sam się bawi ich nieoczekiwanymi skojarzeniami, tworzy kalambury. Wszystko wydaje się swobodne, naturalne i jednocześnie oddycha prawdziwą poezją, jak choćby to stwierdzenie: „Zmywanie głowy nie wypłucze z serca miłości”. „Taki tłumacz jak Staszek zdarza się raz na sto lat” – jak powiedział znawca Szekspira Jan Kott. Odnajdujemy tu wszystko: ducha, melodię, napięcie, o których wspomina w swych listach wymienianych z reŹyserem Jerzym Stuħrem poeta BaraŹczak. Widz moŹe powtórzyć słowami Szekspira-BaraŹczaka „czy mi się przymykają tylko z przyjemnością”. Jerzy Fedorowicz, dyrektor teatru nie ukrywał satysfakcji, Źe premiera tak się udała, goŹcie dopisali. Kłopotu z frekwencją nie bęĢdzie, bo fama o przedstawieniu poszła juŹ w kraj.

BARBARA HENKEL

Rektor Stuhr i jego młodzież

POCAŁUJ MNIE, KASIU

JACEK SIERADZKI

Opowiadano mi, że aktorzy jednego z najpopularniejszych warszawskich teatrów, grający w bodaj najsłynniejszej tragedii miłosnej, jaka dla sceny została napisana, serdecznie nie znoszą i przedstawienia, i swego w nim udziału; z najwyższym oporem wychodzą przed rampę. Przez skórę czują niechęć i rezerwę odbiorców wobec lirycznej retoryki. Niekiedy, by tę niechęć odczuć, nie muszą zresztą łowić subtelnych fluidów: oto bohaterkę tragedii (gra ją lubiana aktorka) wracającą na scenę po komicznym interludium, wita przeciągłe, chóralne westchnienie – doskonale czytelny jęk zniecierpliwienia, znudzenia, dezaprobaty. „Znowa będą truć” – mówi widownia do sceny, zanim jeszcze padnie pierwsze słowo tekstu.

JAK GRAĆ KLASYKĘ, zwłaszcza tę, gdzie niemal wszystko zasada się na wypowiedzeniu, wobec widowni, która nie umie już i nie chce słuchać? Wobec widowni chowanej przy wideo, które zawsze można zatrzymać lub cofnąć, tudzież chowanej przy serialach z góry zakładających dekoncentrację widza i konstruowanych tak, by gospodynin wybiegająca co chwilę do kuchni nie traciła wątku? Coraz częściej spotykam dziś w teatrze podobne do opisanych oznaki niechęci na przedstawieniach wymagających skupienia i uważnego śledzenia słów. Coraz częściej też młodzi widzowie prowadzą w trakcie akcji nie skrepowane, prywatne rozmowy: przenoszą do teatru zachowanie z własnej kanapy przed telewizorem. Luz i swoboda młodej publiczności wcale nie musi przy tym korespondować z charakterem spektaklu; bywa że to widownia próbuje

narzucić scenie nastrój wieczoru. Skrajny przypadek obserwowałem kiedyś w teatrze zakopiańskim: grupa widzów Witkacowskiej „Sonaty b.” apriorycznie nastawiona na zabawę, huczyniła brawami i okrzykami wesolej aprobaty nagrodziła Piotra Dąbrowskiego, kiedy się w kulminacyjnym punkcie akcji efektownie i dramatycznie powiesił.

Kształt „Poskromienia złošnicy” w nowohuckim teatrze narzuciła właśnie widownia, którą Jerzemu Fedorowiczowi udało się przyhołubić, a która latami Ludowy omijała z daleka: widownia młodzieżowa, nastoletnia z Huty, z Krakowa i zza Krakowa nawet. Ponieważ dyktat ten nie pociągnął za sobą gwałtu artystycznego, nie sposób wnosić pretensji: powstało bardzo udane przedstawienie, żywe, efektowne, konsekwentne. Pytanie tylko, czy gdyby zamiast o poskramianiu złošnicy opowiedzieć im ze sceny gorzką historię Romea i Julii – wysłuchałby jej, czy odpowiedzieli chóralnym jękiem, jak ich warszawscy rówieśnicy? Takie pytania dręczą dziś każdego dyrektora choć trochę ambitnego teatru: czy można dziś grać wszystko, a rzecz tylko w znalezieniu odpowiednio nošnego języka, czy też, poważne polacie klasycznego repertuaru stały się – przynajmniej na czas jakiś – nie do użytku. Jedno pewne: na złošć widowni nie da się dziś zagrać niczego. Przekonało się o tym sporo zadufanych twórców.

„Poskromienie...” w Nowej Hucie zostało znacznie odmłodzone, przynajmniej w stosunku do tradycji scenicznej; wiele ról przypadło wykonawcom rok po szkole, wciąż jeszcze, po studencku, świeżym. Kasia Małgorzaty Kochan okazała się śliczną, młodą dziewczyną, której uroda, wdzięk i inteligencja przewyższają otoczenie o kilka pięt. Zmienił się więc dramatyczny powód jej jęzowatości: karykaturalna zgrała wokół zasługuje wyłącznie na to, by ich kopniakami wyrzucać z domu i ośmieszać. W Petruchiu Piotra Urbaniaka też trudno byłoby się doszukać tradycyjnego, jowialnego poskramiacza: na scenie Ludowy zjawiał się inteligentny, zadziorny, ruszający na podobję światła chłopak. Spotkali się, pokłócili, a potem spod śmiertelnej obrazu z wolna wydobywała się głęboka miłość. Miłość prawdziwa, wobec której wszelkie inne flirty były tylko konwencją, nie uczuciem, co w jasny sposób okazywało się w nietradycyjnie interpretowanym finale.

Opisuję tu najstarszy i najbanalniejszy schemat komedii miłosnej – ale niezawodny, gdy go właściwie użyć. Nasz drogi teatr sposobów ożywiania tego schematu zapomniał ostatnio na dobre: wyrzekł się amantów i amantek, zastąpił wdzięk tupelem, flirt zgrywą, kokieterię samoupojeniem, a namiętłość rozbieranką. Toteż niemalże odkryciem na nowo była ta para klasycznie amancka, jak pan Bóg przykazał, budząca rozzuchlenie, uśmiech, sympatię. I podziw dla prawdy tego uczucia rozgrywanego w ciasnej przestrzeni na wyciągnięcie dłoni widzów; temperatura tych amorów łatwo rozgrzewała salę.

A tło tego dojrzewania zakochanych do własnych uczuć reżyserujący spektakl Jerzy Stuhr dośmieszył mak-

symalnie. Winkrustował w inscenizację całą furę gagów: sytuacyjnych, antyiluzjonistycznych (wierchowce zjeżdżające ze sznurowni), czysto aktorskich (od delikatnie i zabawnie rysowanej Blanki, kochliwej głuptaski – Aldony Jankowskiej, po ostro groteskowego, szalejącego na inwalidzkim wózku Ojca – Andrzeja Franczyka). Jak zawsze w przekładach Stanisława Barańczaka rozkwitł dowcip słowny (przede wszystkim w ustach Romana Gancarczyka, rezonującego sługuskiego). Pozwalając na galopadę dowcipów Stuhr uczył też swoich młodych partnerów umiaru w ich stosowaniu. U Szekspira Petruchio przybywa na swój ślub w łachmanach i wywołuje skandal. Tu Urbaniak wkracza w charakterystyki punka, po czym – gdy tylko umilknie kwik uszczęśliwionych równolatków – zdejmuje perukę. Urywa żart. Sporo wśród gagów nowohuckiego przedstawienia jest właśnie takich niedociągnięć do dechy; przy pozorach rozchowania, ta inscenizacja jest dość zdyscyplinowana i wyważona.

Oczywiście można jej postawić sporo zarzutów szczegółowych, choćby o całkiem nieudany prolog (notabene zazwyczaj pomijany w realizacjach „Złošnicy”). I można jednak dyskutować założenia inscenizacyjne, przypominać, że Szekspir nawet w swoich krotkowilnych nie bywa aż tak beztroski i bezkonfliktowy, że zawsze jego świat jest piętrowy, podszty melancholią i smuteczkiem. W tym przedstawieniu świat jest płaski jak scena farsy i o to z pewnością można wnieść reklamację. Tylko czy warto?

Widziałem niedawno Szekspira w Olsztynie. Jacek Andrucki przypomniał poszczególnym światom „Snu nocy letniej” wyraziste znaki, byśmy od razu wiedzieli, że dwór reprezentuje tu cynicznych manipulatorów, świat elfów – zbuntowanych hipisów i poetów, zaś ateński robotnicy – upokarzanych, bezsilnych prostaczków. Tak wymyślonego puzzla można było układać nawet konsekwentnie, tyle że po drodze wieloznaczna poezja „Snu...” zmieniła się w demonstrację tezy niezbyt głębokiej i cokolwiek jednak doktrynerskiej. Widziałem też Szekspira w Warszawie, w Ateneum: przedziwną „Burzę” Krzysztofa Zaleskiego, jakby przeniesioną z teatru sprzed stu lat. Obsadzoną ściśle według emploty: z góry było wiadomo, kto zagra rolę komiczną, kto szlachetnego, a kto nikczemnego króla, komu przypadnie szwarczarakter, a kto będzie na scenie wyglądać najpiękniej. Powstał spektakl z patosem recytowany, zamknięty w operowych dekoracjach Wiesława Olki, profesjonalny, poprawny – i bezduszny, pozbawiony nawet resztek żaru, emocji, napięcia i tajemnicy. Jakby twórcom w trakcie prób wyszło zupełnie z głowy, po co właściwie opowiadają widzom tę bajkę, jakby ich samych w którymś momencie przestało to interesować.

William Shakespeare: POSKROMIENIE ZŁOŠNICY. Przekład: Stanisław Barańczak, reżyseria: Jerzy Stuhr, scenografia: Elżbieta Krywsza, muzyka: Jolanta Szczerba, choreografia: Jacek Tomasiak, premiera w Teatrze Ludowym w Krakowie 5 czerwca 1991 r.



Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza
RSW
„Press-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

TEATR

Warszawa, ul. Jakubowska 14

Nr z dn.

-09-91

PRZEDSTAWIENIA **TEATR**

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE... W NOWEJ HUCIE

W przedstawieniu *Poskromienia złoŹnicy* w reżyserii Jerzego Stuhra najważniejszym meblem jest łóżko. Stoi niemal od początku spektaklu. Jest duże, wyraźnie małżeńskie. Od łóżka wszystko się zaczyna i w nim znajduje swój finał. Może z wyjątkiem pierwszej części prologu granej w foyer teatru. I nic w tym dziwnego. Rzecz jest przecież o miłości skrywanej za różnymi maskami. Łóżko niepostrzeżenie organizuje całe przedstawienie. Zaczniemy jednak od początku. Tuż przy wejściu, na zbudowanym z desek podeście stoi pijany Okpisz (Piotr Urbaniak). Nieco dalej trzymająca dzban Karczmarza (Małgorzata Kochan). Dzieli ich zaledwie kilka metrów. Kubek Okpisa jest pusty. Dziewczyna nie okazuje odrobiny zainteresowania, jej twarz pozostaje doskonale beznamiętna. Okpisz ze wzrokiem wbitym w dzban chwiejnym krokiem przemierza dzielącą ich odległość. Następnie powoli, z nieukrywaniem wstrętem, wypija kolejny kubek. I tak kilkakrotnie, aż padnie całkowicie zamroczony. Sturdy dziedzica zanoszą go do łóżka. Publiczność przy dźwiękach muzyki przechodzi na scenę. Tym razem z Okpiszem oglądać będzie przedstawienie, w którym ona zagra Katarzynę, a on Petrucia. Spektakl Stuhra jest wspaniałą teatralną zabawą. Od razu trzeba dodać – zabawą z aktorami, z widzem, ale przede wszystkim zabawą z tekstem. Przekład Barańczaka jest znakomity, brzmi współcześnie, jest grą z językiem. Udowadnia, że Szekspir może i powinien śmieszyć. W przeciwnym razie nie ma sensu wystawiać jego komedii. Po cóż bowiem grać rzeczy, w których śmiech pojawia się sporadycznie i jakby trochę na siłę. Antoni Słonimski pisał przy okazji *Poskromienia złoŹnicy*, w 1935 roku, że humor Szekspira dawno się zestarzał i dziś nikogo już nie śmieszy. Jego zdaniem „w komediach Szekspira nuz nas obcowanie z żartami, które przestały być nimi już od lat dwustu. Jak z twarzy osób, które niegdyś były młode, odczytać można resztki wdzięku i tu domyślać się zaledwie możemy, że jakiś dialog albo powiedzenie miało siłę komiczną”.

Mistrz dowcipu tym razem się pomylił. Mówiąc dokładniej, stwierdził fakt, ale nie ustalił miejsca choroby. Całe zło tkwiło w przekładzie, anachronicznym, a przy tym dalekim od Szekspira. Skutecznie zacierającym lingwistyczne gry, kalambury, przejęzyczenia, pozostawiającym martwe, niezrozumiałe sytuacje. Aby wydobyć komizm Szekspira, potrzebny był nowy przekład i taki wreszcie się pojawił. Sukces przedstawienia Stuhra nie jest jednak wyłącznie sukcesem Barańczaka. Grano już Szekspira w nowym przekładzie. Na ogół podziwiano mistrzowską – obojętną tłumacza – spektakle pozostawały dalekie od ideału. Na pierwszym planie zawsze był Barańczak, może z wyjątkiem kilku kreacji aktorskich. W przedstawieniu Stuhra jest inaczej. To spektakl bardzo wyrównany, grany właściwie bez gwiazd, a jednak od początku do końca niezwykle śmieszny. W pewnym sensie to także przedstawienie o teatrze, widowisku, w którym każdy udaje każdego, wszyscy grają zamieniając się rolami. Dzieje się na scenie, a więc w miejscu szczególnie wyróżnionym.

Dobra jest para głównych bohaterów. Oboje doskonale radzą sobie z tekstem, z dużą pewnością rozgrywają poszczególne sceny. Kochan gra dziewczynę pełną temperamentu, zawziętą, której przeraźliwy, odpowiednio wzmocniony krzyk przerywa na moment przedstawienie. Nie uśmiecha się, jest oszta, a mimo to jej Katarzyna budzi sympatię i śmiech. Z kamienną twarzą odpyiera ataki Petrucia. Jest wspaniała, gdy w złości męczy swoją siostrę. Przywiązuje ją do liny, unosi i bezlitośnie kofysze. Kochan gra złoŹnicę, która nawet poskromiona ani na chwilę nie łagodnieje. Głodzona, posłusznie wykonuje polecenia męża, ciągle jednak pozostaje kobietą z charakterem. Złość na moment ujarzmiona tkwi w niej nadal. Petrucio Urbaniaka jest pewny siebie, dowcipny. W scenach z Katarzyną najczęściej stanowczy, czasami tylko ironicznie uległy. Oboje skupiają na sobie uwagę widzów, wyraźnie podzielonych w swych sympatiach. Pozostali aktorzy w niczym nie ustępują parze protagonistów. To oni utrzymują kontakt z publicznością. Decydują o charakterze całego przedstawienia, nadają mu rytm. Baptista Minola (Andrzej Franczyk) jeździ na wózku, wykonując niemal cyrkowe akrobacje. Bianka Aldony Jankowskiej to osoba całkowicie dominowana przez siostrę, z założenia nieco bezbarwna. Dobry, a przede wszystkim śmieszni są zalotnicy Grenio (Władysław Bułka), Hortensjo (Krzysztof Górecki) i Lucencjo (Krzysztof Gadacz). Tranio (Piotr Pilittowski) z dużym



Aldona Jankowska (Bianka), Andrzej Franczyk (Minola), Małgorzata Kochan (Katarzyna)

wdziękiem udaje swego pana, Biondello (Tomasz Schimscheiner) zręcznie, choć trochę zbyt natrętnie ogrywa swą erotyczną dwuznaczność. Wszyscy biorą udział w grze precyzyjnie zorganizowanej, prowadzonej w zmiennym rytmie. W pewnej chwili rozsuwa się kurtyna odsłaniając rzędy krzesel puste widowni. To dom Petrucia, miejsce poskromienia złoŹnicy.

Scenografia Elżbiety Krywskiej jest funkcjonalna, budowana bez troski o iluzję. Kilka mebli, para drzwi, łóżko. Prócz tego praktykabel w kształcie wieży. Nie trzeba nic więcej. Uczestniczymy przecież w zabawie, w której miejsca, a nawet postaci są tak naprawdę umowne. I jeszcze jedna scena, której urok oparty jest głównie na scenograficznym pomysle. Podróż Katarzyny i Petrucia na wielkich końskich kukłach zawieszonych nad sceną. Grumio (Homan Gancarczyk) pociągając za wodze wprawia całość w ruch. To jedna z najładniejszych scen w przedstawieniu Stuhra.

Jego *Poskromienie złoŹnicy* po prostu bawi publiczność. I myślę, że taki był cel spektaklu. Najważniejszy, choć nie jedyny. W liście do Barańczaka, przedrukowanym w programie, Stuhra napisał: „Chcę, aby bohaterowie tego przedstawienia byli ludźmi dobrymi, którzy tę dobroć odkryją w sobie, odkryją, że szacunek, wzajemne doznanie uczucia, którym obdarowuje nas druga osoba, są wielką radością. Myślę, że pokazanie takich bohaterów młodym ludziom siedzącym na widowni, którzy przecież o takich marzą, ale spotykają rzadko, może być pokrzepiające i pożyteczne. Tak mi się marzy!”. Rzeczywiście widownię wypełniają głównie ludzie młodzi. Nie wiem, czy odnajdują w przedstawieniu to, o czym pisze Stuhra – szacunek, potęgę miłości. Na pewno się bawią i to wystarcza. Prawdziwy śmiech w dzisiejszym teatrze zdarza się rzadko. Kazimierz Wierzyński, w przeciwieństwie do malkontenckich uwag Słonimskiego, pisał o *Poskromieniu złoŹnicy*: „Czas wydmuchać z tego żartu wszelką problematykę, z treści wykruszyć się ostrość też... Z sędziwej anegdoty nic jednak nie wytrąciło śmiechu i jego czarodziejstwa... Śmiech ten nie zna pardonu, panuje nad charakterami i zdarzeniami, nad moralnością i miłością. Ma impet, natarczywość i śmiałość szarzy.” Taki jest spektakl Stuhra, dowcipny i bezpretensjonalny. Dowodzi, że w teatrze w Nowej Hucie coś się zmieniło. Zdecydowanie na lepsze.

MAREK ZAGAŃCZYK

Teatr Ludowy w Krakowie: *POSKROMIENIE ZŁOŹNICY* Williama Szekspira. Przekład: Stanisław Barańczak. Reżyseria: Jerzy Stuhra, scenografia: Elżbieta Krywsza. Premiera VI 1991

FOT. ZBIGNIEW LAGOCKI

Teatr śmiechu

Małgorzata Ruda

Pecz będzie nie o polityce, ale o najprawdziwszym, najweselszym i najzabawniejszym przedstawieniu, jakie można zobaczyć — teoretycznie — na scenie Teatru Ludowego. Premiera — nie ukrywam — odbyła się wczoraj, a obejrzeć „Poskromienie złoŹnicy” trudno, bo eksploatacja grozi Ludowemu katastrofą budżetową. Znakomite przedstawienie jest za drogie, aby grać je tak często, jak życzyłyby sobie tego zachwycona publiczność. Sukces przyczyną ruiny? Trudno uznać tę logikę finansową za logiczną i ekonomiczną, ale niezbadane są tajemnice teatralnej ekonomii. Wszak w naszym niebogatym kraju są pieniądze na Bagatelę i Maszkaron, nie ma na Stary Teatr. W obliczu takiej konsekwencji finansowo-artystycznej to, że jakiś tam zespół nie może cieszyć widowni za drogą inscenizacją, trzeba uznać za fakt jeśli nie naturalny, to rzeczywisty. A z rzeczywistością walczą tylko szaleńcy. Radzić Ludowemu, aby inscenizował tani „Skiz” nie będziemy, bo konkurencja w tej materii wielka. Wszyscy mają i tak ten sam oszczędnościowy repertuar i, co gorsza, te same zgrzebne pomysły antykryzysowe: zwabienia do teatru nieletniej działki szkolnej, jeżeli nie lekturą, to przynajmniej pozycją zalecaną przez nieocnione Ministerstwo Edukacji Narodowej.

W tej sytuacji oglądanie i opisywanie „Poskromienia złoŹnicy” jest ucieczką w świat teatralności prawie bezinteresownej, luksusem, który może się nam nieprędko zdarzyć. Przedstawienie w Teatrze Ludowym bawi, śmieszy i zaskakuje. Aż trudno sobie wyobrazić tyle zalet jednocześnie. Przedstawienie wyreżyserowane przez J. Stuhra te niebawale i skromne zalety posiada, reżyserowi bowiem, aktorom i tłumaczowi udało się wywołać śmiech szczery i radość nieklamana. Chociaż przyznajemy: większość reżyserskich pomysłów Stuhra jest... (niezrozumiały)

estetycznym, które małe miało szanse, aby wzbudzić zachwyt i śmiech powszechny. Reżyser bowiem założył wszystkich materii popłatanie i wyakcentował teatralność Szekspirowskiej „ZłoŹnicy”. Kolaż estetyk teatralnych — farsowych i komediowych, numerów z różnych epok — spięty konwencjonalnym śnieniem teatru w teatrze Stuhr potraktował najdosłowniej. Najpierw rozinscenizował pijački prolog na cały westybul teatru, kaŹąc się Okpiszowi (P. Urbaniakowi) upijać teatralną pantomimę, gdzieś na podestu wepchniętym między drzwiami wejściowymi i wielkim lustrem hoiu, tak, abyśmy na wstępie ujrzeli i siebie w głupiej roli gapiów, i zapamiętali Karczmarską, tryumfującą złoŹnicę, która się wróciła w Kasie-Źbika i Kasie-Źkotkę przemieni (M. Kochan). Potem reżyser uwierzyć nam niewierzącym kaŹał, że oto uczestniczymy czynnie w inscenizowaniu farsy „Z chłopa król”, więc dreptaliśmy przez zaplecze teatralne za dworem Dziedzica z Okpiszem na najprawdziwszą scenę Teatru Ludowego, gdzie Okpisz Petruchiem się stawał, rekompensując sobie grę teatralną ów przykry epizod z karczmarską krnąbrną i kaŹliwą, co się tam w okolicach szatni nie dała ugłaskać. Kiedy tylko publiczność odzyskała swój status publiczności — wprawdzie uwiecznionej na scenie, ale jednak niczego już nie udającej — wszystko pótoczyło się w tempie ośniewającym.

Skojarzenie goŹiło skojarzenie. ZnaleŹliśmy się rzeczywiście w samym środku gry o śmiech, ze śmiechem i wśród śmiechu. Aktorzy narzucili nastrój tak spontanicznej zabawy, że przywołała ona na myśl improwizację, choć była tylko bawieniem siebie i gapiów, radością wynikającą z udawania tak sztucznego, że aż prawdziwego. Jakimś cudem w ciasną przestrzeń sceny i widowni wtoczyło się...

...kach, inwalidzki wózek Dziedzica i nie-szczęsnego ojca Kasi (A. Franczyk). Z wyciągów zjeŹdŹały nadnaturalne kulki-atrapy koni, fragmenty padewskich budowli. Widzieliśmy za niskim podestem do gry rozeŹmiane twarze wiŹdzów, a oni widzieli nas i bawiliŹmy się wzajemnie swoim rozbawieniem, wszystkim, co było umowne na prawdę. Tylko kiedy nieoczekiwanie otwierała się kurtyna na pustą teatralną widownię, czuliŹmy się w rozbawieniu swoim trochę nieswojo. Teatr okazywał się na ułamek sekundy światem, a my aktorami i jakaś inna publiczność mogłaby nas podglądających podglądać. Mogłaby, gdyby z tego małego kłopotu nie wybawił nas Petruchio męŹający na proscenium Kasie. I wszystko wracało do normy. Stuhr nadał Szekspirowskiej „ZłoŹnicy” klimat farsy, w której kaŹdy chwyt jest dozwolony. Petruchio — Pan Młody zmienia się w punka szokując i poskramiając strojem. Kasia jak w filmie grozy torturuje Biankę (A. Jankowska) kaŹąc jej wisieć i huŹać się na linie. Kopniakom i policzkom, gonitwom, zapasom i grymasom nie ma końca. Przebieranek goni przebieranek, pinta pinta, inscenizowany i inscenizacyjny cytat wyłania się z cytatu. Tu Wajda, tam Lupa; ówŹdzie... błysk sznyderczy — i podobieŹstwo znika, wywołując śmiech szczery dwuznaczością skojarzeŹ. Bo oto teatr gra teatr w teatrze, zabawę w zabawie. Żywiot udawania staje się drugą naturą, ujawnia skryte pragnienia. ZłoŹnica marzy o anielstwie, poskramiacz o sukcesie... uczuciowym. Katarzyna Małgorzaty Kochan chce, by dojrzano w jej wściekłości nie tylko uraŹoną ambicję, ale i bunt. Jest złoŹnicą z wŹmówienia, trochę melancholijną, trochę złoŹć udającą, chwilami nawet liryczną, uszczęŹliwia ją prawdziwie nareszcie waŹna, pierwsza rola przeanieleny diablicy. Zdecydowanie dobrze czuje się w tym emplot, zwłaszcza gdy może pouczać Biankę... gdy jest od niej nareszcie lepsza. Biana zaś nie krępiuje się zupełnie. Lubi być wcieleniem doskonałej obłudy i wątroba boli ją tylko wtedy, gdy zostaje zdemaskowana. Petruchio urodził się, by nad światem dominować. Zdobywszy przewagę, zdolny jest nawet do rozczulenia nad Kasinymi waporami. Psychologiem kobiecej duszy zostaje raczej z konieczności niŹ z potrzeby serca bardziej ze skłonności

do ryzyka niŹ do dobra. W scenach ze słuŹącymi wciąż myła mu się policzki „na serio” i „na niby”. Więć niepoweŹność, co do natury samego siebie, pokrywa wdziękiem. Nie jest to najgorszy sposób w tym teatrze męŹczyŹn zbyć kobiecych. Większość z nich naleŹy do sfory Dziedzica i tak naprawdę choćby tylko z tego powodu gra przeciw Petruchiowi. Krag homoseksualnych aluzji, Źartów, animozji, pretensji i zazdroŹci jest Źródłem komizmu wielu scen tego przedstawienia, wzbogaca grę o jeszcze jeden cudzysłów.

Przede wszystkim jednak nie byłoby tego przedstawienia, gdyby nie znakomity, pomyslowy, bardzo śmieszny, przekład Stanisława BaraŹczaka. Tłumacz bawi się słowem, mnoŹy dowcipy i z Źartu, kalamburu, dwuznaczności tworzy jedyną w swoim rodzaju aurę poetyckiej błazeŹady. Nie byłoby wspaniałego głuchego słuŹi-blaŹna Grumia (R. Gancarczyk), gdyby nie talent translatorski BaraŹczaka. „Czy ktoŹ wyrzucił szanownemu panu jakiŹ despekt, albo nie dał BoŹe respekt?” pyta Grumio, a gdzie indziej oŹwiadcza „Wszystko gotowe do drogi panie: konie zjedzone owies osiodłany”. WaŹny jest nie tylko dowcip słowny; Źartem staje się sama muzyka — słowa, zdania, „Życie ze Źbikiem rzecz Źwawa jak rzadko!” komentuje ktoŹ Źyciowe ambicje Petruchia, a on sam taki poemat o imieniu Katarzyny wykrzykuje:

...Na imię masz zwyczajnie Kasia,
Kasia słuŹnotka, czasem Kasia jeŹda,
Taka czy siaka Kasia, ale Kasia
Kasia nad Kasie, Kasia w całej krasi
Kasia kataklizm. Kasia delikates,
Bo widok Kasi kosi z nóg i kusi;
Więć słuŹchaj Kasiu, moja ty pokuso...

To nie jest przekład stworzony dla wygody aktora. Jest prowokacyjnie wymyŹlny, ale pokonanie technicznych trudnoŹci odsłania Szekspira żywego. A to się aktorem z Ludowego udało. I choć świat zabawy nie uzdrowił chorych wątrob, to złagodził przynajmniej na tyle obyczaje, że można z radością pójść... spać.

Teatr Ludowy: „Poskromienie złoŹnicy” W. Szekspira. Przekład: St. BaraŹczak. ReŹyseria: Jerzy Stuhr. Scenografia: ElŹbieta Krywsza. Muzyka: Jolanta Szerba

Na deskach

Marek Mikos, pisujący w „Gazecie Wyborczej”, obejrzawszy „Sen nocy letniej” w Starym Teatrze, jest „pełen nadziei”, że teatr nie umrze, zaś Wojciech Plewa, grasujący w „Gazecie Towarzystwowej” gniemiał z zachwytu na tym spektaklu. Proszę pójśćcie do Teatru Ludowego też na szekspirowskie widowisko, aby doznać podobnych wrażeń. Tu znakomicie zmajstrowany Szekspir, tam świetnie zmajstrowany Szekspir?! Przypadek, czy może Szekspir do naszych czasów tak dobrze pasuje? On pasuje do każdego czasu! Byle trafił w teatrze na fachmanów.

W Teatrze Ludowym, na „Poskromieniu złoŹnicy” będzie przy was, z wami, dla was miłe zaskoczenie, mnóstwo śmiechu, tłum zabawnych niespodzianek. Tak, z wami, dla was, bo tego wieczoru i wy pobawicie się w aktorów. **JERZY STUHR** skomponował bowiem „Poskromienie złoŹnicy” (świeżym przekład **STANISŁAWA BARAŃCZAKA**) na podobieństwo

stwo dawnych teatrów wędrownych, kiedy grano wśród ludzi, z ludźmi. Pomogli mu w tej robocie: **ELŻBIETA KRYWSZA** pomysłowa scenografia (oj, te konie! sam bym sobie na nich pojeździł!), **JOLANTA SZOZERBA** ładna muzyka, **JACEK TOMASIK**

roryzować, aniżeli siłą, siedzącą w bicepsach?

Wymieniam wszystkich aktorów tego przedstawienia, gdyż dobrze się spisali: **ANDRZEJ FRANCZYK, ZBIGNIEW HORAWA, WŁADYSŁAW BULKA, KRZYSZTOF GADACZ, KRZYSZTOF GÓ-**

Wy, z wami, dla was...

zgrabnym, dowcipnym ruchem i asystenci reżysera — **KRZYSZTOF GADACZ** oraz **ANDRZEJ CELINSKI** z PWST.

No i pysznie spisali się główni awanturnicy tej afery wpisanej w „Poskromienie złoŹnicy” — **MALGORZATA KOCHAN**, jako Katarzyna i **PIOTR URBANIAK**, jako Petruccio. Zaskoczył mnie on przewróceniem tej roli: jego Petruccio nie siła, lecz wdziękiem i tylko wdziękiem poskramia Katarzynę. A może wdziękiem da się bardziej ter-

RECKI, ANDRZEJ GĄDZICKI, PIOTR PILITOWSKI, TOMASZ SCHIMSCHNER, ROMAN GANCARCZYK, PIOTR PIECHA, ROLAND NOWAK, TOMASZ POŻNIAK, MALGORZATA KOCHAN, ALDONA JANKOWSKA, BEATA SCHIMSCHNER, BARBARA STESŁOWICZ, ZDZISŁAW KLUCZNIK.

Dobrze Szekspirowi w Starym Teatrze, dobrze mu w Teatrze Ludowym.

RYSZARD SMOZEWSKI

„Gazeta Towarzystwowa”
23 IV 1992.

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Wreszcie poskromiona!

Zaskandalicznym doprawdy opóźnieniem zobaczyłem w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie słynne już w całej Polsce „Poskromienie złoŃnicy” Szekspira w reżyserii Jerzego Stuhra i w nowym przekładzie Stanisława Barańczaka. W swoim czasie dużo o tym spektaklu pisano, niech mi jednak będzie wolno dorzucić do licznych pochwał, którymi go obsypało, także moje trzy grosze. Tym bardziej, że przedstawienie wciąż jeszcze jest grane przy pełnej widowni.

To niewątpliwie najciekawsze przedstawienie tej komedii, jakie dotychczas oglądałem, a oglądałem tych „Poskromień” wiele. Największą w tym zasługą reżysera, lecz także autorki znakomitej scenografii (którą jest Elżbieta Krywsza), no i oczywiście czołowej pary aktorów, mianowicie Małgorzaty Kochan (Kasia) i Piotra Urbaniaka (Petruchio). Ta dwójka na czele całego, wyrównanego zresztą i dobrego zespołu, dała rzeczywisty popis gry, budzący nie najgorsze nadzieje na przyszłość naszego młodego aktorstwa. A w kilku scenach — niewątpliwa to też zasługa reżysera — była nie tylko zabawna (jak na komedii przystało), lecz także bardzo poetycka, a nawet wzruszająca.

Zasługi reżysera... Jerzy Stuhr stworzył przedstawienie znakomite, pełne świetnych pomysłów inscenizacyjnych i interpretatorskich. Stuhrowi zawdzięcza owa „ZłoŃnica” z Nowej Huty niezwykle klimat całego spektaklu, pełnego wesołości, zabawy, poezji. Co prawda trzeba było trochę biegać po teatrze, czego w zasadzie nie lubię, ale w końcu musiałem wybaczyć Stuhrowi nawet to, że początek sztuki oglądaliśmy w foyer na stojąco, a później wraz z biórcami w nim udział aktorami powędrowaliśmy na scenę, na której to scenie (a nie na widowni!) w nastroju wciąż trwającej zabawy oglądaliśmy dalszy ciąg przedstawienia. Fakt, że ani przez chwilę nie byłem tym zmęczony i że wyszedłem z teatru pełen (co dzisiaj raczej dziwne) prawdziwej radości życia, zawdzięczałem przede wszystkim Stuhrowi.

Oglądałem w życiu wiele przedstawień „Poskromienia złoŃnicy”, ale zapamiętałem przede wszystkim trzy z nich. W pierwszym, jeszcze przed wojną, widziałem samego Juliusza Osterwę wraz z Hanką Ordonówną, później goścących w Polsce aktorów kanadyjskich z tym samym przedstawieniem. Oglądałem wreszcie „Poskromienie złoŃnicy” w Stratfordzie nad Avonem, a więc tam, gdzie właśnie Szekspira powinno się wystawiać wzorowo, choć nie zawsze tak się dzieje, a w spektaklu, który oglądałem, tak właśnie się działo. Spektakl Stuhra zrobił na mnie największe wrażenie z mo-

ich dotychczasowych „Poskromień”, o czym miło mi zawiadomić jego samego i moich Czytelników.

★

Jak wiadomo „Poskromienie” zaczyna się prologiem, którego wątek autor potem gubi. Otóż pierwszym i bardzo interesującym pomysłem Stuhra jest fakt, że pijane chłopisko z prologu (zwane przez tłumacza „Okpizsem”) przekształca się, już we właściwej sztuce, w jej głównego bohatera Petruchia, a Karczmarka z prologu gra później złoŃnicę Kasię. W prologu tym bierze również udział wielu aktorów, ukazanych później w innych rolach sztuki. Inszenizacyjnie Stuhr przypomina także dyskretnie ów prolog w scenie ostatniej, co nie pozwala widzowi sądzić, że Szekspir ten, wątek „zagubił”. Przynajmniej takie można odnieść wrażenie. Duży plus dla Stuhra. Takich plusów jest w spektaklu więcej.

★

W programie przedstawienia zamieszczono pełną wzajemnych duserów wymianę listów pomiędzy reżyserem sztuki a jej tłumaczem. Moi Czytelnicy pamiętają może, że nie jestem — jak to dzisiaj wypada — szczególnym administratorem przekładów Stanisława Barańczaka. Ośmieliłem się niegdyś zacząć jego przekład „Hamleta”, nie zachwycił mnie także przekład „Snu nocy letniej” (z przerażającym „Podszewką” zamiast pocztowego „Spodka”). Lepiej już brzmiał mi w uszach przekład „Romea i Julia” (grany również w teatrze w Nowej Hucie). No, a teraz „Poskromienie złoŃnicy”...

Oczywiście i tutaj Barańczak swobodnie traktuje tekst szekspirowski, odchodząc od niego, nieraz dość daleko, tylko że „Poskromienie” jest właśnie sztuką, w której można sobie na to pozwolić z lekkim sercem. Pamiętam, jak groza ogarnęła mnie w Stratfordzie, gdy w teatrze Royal Shakespeare Company reżyser Michael Bogdanov właśnie w „Poskromieniu” dopisał Szekspirowi swoje cenne myśli, zaznaczając ucześnie w programie, iż „certain parts of the text have been cut or rewritten” („niektóre partie tekstu zostały skreślone lub napisane na nowo”). Działo się to w samym sanktuarium Szekspira! A więc wiele należy wybaczyć Barańczakowi, zwłaszcza że jego przekład „ZłoŃnicy” brzmi rzeczywiście znakomicie, jest pełen humoru, dowcipu i rozmaitych zabawnych sztuczek językowych. Jakże mi miło, że mogę pochwalić Stanisława Barańczaka.

★

Tak więc „ZłoŃnica” w Nowej Hucie została istotnie poskromiona przez reżysera, aktorów i tłumacza! To ciesząc się, podobnie jak tłumna obecność młodzieży na tym pięknym przedstawieniu.

ŻYCIE WARSZAWY

00-575 WARSZAWA

Al. Armii Ludowej 3/5

Nr 47 26 dn. 27-06-93

Teatr w teatrze ... Teatru TV

Jerzy Stuhr, realizując z aktorami nowohuckiego Teatru Ludowego „Poskromienie złoŹnicy”, zastosował zabieg, który publiczność uwielbia co najmniej od czasów Szekspira. Dał profesjonalistom polor improwizacji, zredukował do minimum dekorację, pomieszał wszelkie style odzieży — zestawiając współczesny strój punka ze stylizacją na wiek XVII i kazał się aktorom poruszać z przesadą rodem z dell arte. Co wtedy mamy? Ano, niczym nie krępowany, bliski kontakt z widownią, luz sceniczny, możliwość ogrywania rekwizytów w dowolny, czysto umowny sposób.

Widzowie w Nowej Hucie swobodnie spacerują na początku, w „Przygotowaniu”, które Stuhr włączył do sztuki, choć zazwyczaj się je skreśla. „Przygotowanie” pokazuje, że historia źle wychowanej Kasi i jej stanowczego męża Petruchia, to spektakl wędrownych aktorów dany dla pijaka przebranego za księcia (motyw: z chłopą król, znany i u nas z komedii rybałtowskiej) na rozkaz dziedzica przebranego z kolei za sługę. Dopiero podczas owej „sztuki właściwej” widownia siada po obu stronach podestu będącego centralnym polem akcji, a jej wygląd i śmiech stają się dla nas — widzów telewizyjnych — niezbywalną częścią bardzo przyjemnego, ładnie granego, okraszonego przekładem Stanisława Barańczaka przedstawienia.

Zastanawiam się jednak, czy takie rejestracje na miejscu, bez przenoszenia spektaklu do studia, służą przedstawieniom czy nie. Trudno byłoby grać w założonym przez reżysera stylu bez wi-

dzów, podgrzewających atmosferę. Jednak szklany ekran to inne medium i momentami, przy ujęciach pełnego planu, miałam wrażenie obcowania z tak modnym swego czasu „zapisem” spektaklu, a nie z integralnym dziełem.

To w ogóle szerszy problem — ów sposób przekładu z jednego środka przekazu artystycznego na inny. Problem do rozważenia i dyskusji, na którą nie tu akurat miejsce.

„Poskromienie złoŹnicy” ma szczęście do telewizji — pamiętamy spektakl Zygmunta Hübnera z Magdaleną Zawadzką i Tadeuszem Łomnickim oraz Michała Kwiecińskiego z Januszem Gajosem i Joanną Szczepkowską. Ten z Nowej Huty potwierdza więc dobrą passę. Swobodna gra Piotra Urbaniaka — Petruchia, Małgorzaty Kochan — Kasi i całego towarzyszącego im dużego grona sług, zalotników i czcigodnych ojców z Andrzejem Franczykiem w roli Baptysty na czele warta była pokazania szerokiej widowni.

Żałować tylko wypada, że nie możemy potrzymać sznura, na którym Kasia podciąga do góry swą układną siostrę, Blanę (Aldona Jankowska), ani poczęstować się okuchami z ucztę weselnej w finale, serwowanymi przez androgynicznego elfa Biondella (komiczna kreacja Tomasza Schimscheinera). Amatorzy bezpośrednich przeżyć będą musieli, zachęceni przez Teatr Telewizji, wybrać się do Nowej Huty, by obejrzeć brawurowe fanfaronady w trzech wymiarach.

HANNA BALTYN

TVP PROGRAM I GODZ. 15:05

RZECZPOSPOLITA

02-015 WARSZAWA

Pl. Starynkiewicza 7

67 20-03-95

Nr z dn.

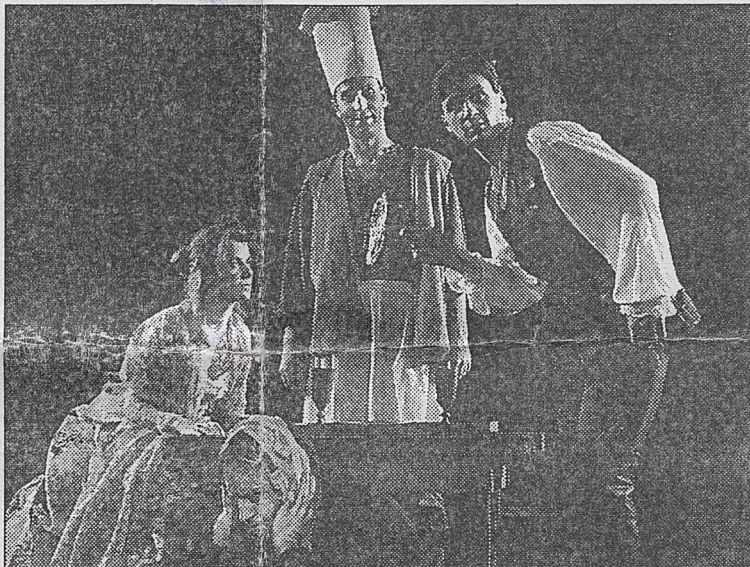
Śmiech nie milknie

Stanisław Barańczak, autor przekładu „Poskromienia złoŹnicy” — dokonane go specjalnie na proŹbę Jerzego Stuhra, dla potrzeb Teatru Ludowego w Nowej Hucie — wyznał w jednym z artykułó w, Źe tłumaczy Szekspira naleŹy pamiętać o trzech rzeczach: Źe był on człowiekiem niegłupim, Źe był niezłym poetą i nie najgorszym artystą teatru. Dlatego Szekspira naleŹy tłumaczyć tak, Źeby można go było zrozumieć (nie tylko w lekturze, ale i w wykonaniu scenicznym), aby tekst przekładu był sam w sobie wybitnym utworem poetyckim i mógł stanowić podstawę wybitnego dzieła teatralnego.

Jakie to proste, prawda? Ileż to się czyta podobnych deklaracji, z którymi na etapie ich materializacji powstają tzw. zasadnicze kłopoty. Na szczęście nie dotyczy to realizacji przedstawienia Teatru Ludowego wyreŹyszerowanego przez Jerzego Stuhra. Jego inscenizacja okazała się konsekwentnym przełoŹeniem na warunki sceny trafnych spostrzeŹeń tłumacza. „Czytałem niedawno »Poskromienie złoŹnicy« w przekładzie Barańczaka — odnotował Jan Kott — nieprawdopodobnie kolokwialne, ale tak zabawne, Źe cały czas się śmiałem”.

Na przedstawieniu nowohuckiego „Poskromienia złoŹnicy” śmiech widzówni prawie nie milknie. To spektakl tętniący radością życia, żywy (mimo grania go juŹ piąty sezon), o niezwyklej, uwodzicielskiej urodzie scenicznej. ReŹyser zrobił spektakl dla młodych widzów, z młodym zespołem — w sporej części złożonym z jego wychowanków.

Jest w tym przedstawieniu sporo ról poprowadzonych brawurowo, choć bez szarŹy: Małgorzata Kochan — krucha z postury, lecz po diabelsku temperamentna Katarzyna, Piotr Urbaniak — jako umiejętnie żonglujący skrajnymi nastrojami Petruccio i Roman Gancarczyk — w roli zdziwaczałego, łachmaniarsko-dziadowatego słuŹy Grumia. Nie brak tu takŹe świetnie poprowadzonych postaci dalszego planu.



Od lewej: Małgorzata Kochan (Katarzyna), Andrzej Gancarczyk (Grumio), Roland Nowak (Piotr), Piotr Urbaniak (Petruccio)

FOT. ZBIGNIEW ŁAGOCKI

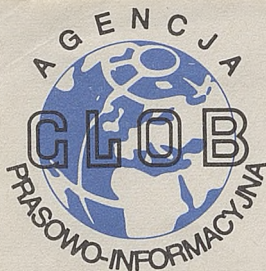
Andrzej Franczyk dokonuje cudów cieleŹnej transformacji, gdy z roŹłego Dziedzi- ca w prologu, we właŹciwej sztuce przeobraŹa się w ojca Katarzyny — starego pokracznego chudzielca na inwalidzkim wóŹku. Nie sposób teŹ nie wymienić Tomasa Schimscheina — w śmiałej interpretacji roli zniewieŹiałego pafia Biondella czy Sławomira SoŹnierzera jako Bakalarza podŹywywającego się pod ojca Lucencja.

Kolokwializmy, celowe anachronizmy lingwistyczne i poetyckie niespodzianki Barańczaka („a gdy lutnię nastroję czy wciąż będzie nas troje?”), oŹmieliły twórców spektaklu do podobnej zabawy z formą. Petruccio, pojawiający się na właŹnej uroczystości ślubnej z czubem punka, łańuchami na szyi i „pieszczochami” na przegubach rąk, lub zupełnie nieznanymi w epoce elŹbietańskiej, a wyjęty nagle spod płaszcza, gigantyczny karabin maszynowy

nowy nikogo nie razi, lecz bawi. Tekst niegłupiego Szekspira, tłumaczenie niezłego poety Barańczaka i reŹyseria nie najgorszego artysty teatru Stuhra spłotyły się ze sobą w nowohuckim spektaklu w zaskakującej harmonii. „ChodŹ mój ideale, lepiej dać póŹno, niŹ nie dawać wcale” — chciałoby się powtórzyć za Petrucciem, mając na uwadze ów czasowy poŹliŹ w warszawskiej prezentacji godnej pochwały pracy krakowskich artystów.

JANUSZ R. KOWALCZYK

William Shakespeare „Poskromienie złoŹnicy”. Przekład: Stanisław Barańczak. ReŹyseria: Jerzy Stuhra, scenografia: ElŹbieta Krywsza, muzyka: Jolanta Szczerba, choreografia: Jacek Tomasik. Teatr Ludowy w Krakowie-Nowej Hucie. Występy goŹcinne: w Teatrze Małym w Warszawie, 17, 18 marca br.



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

Gazeta Robotnicza
50-010 WROCLAW
ul. Podwałe 62

99 24-05-95
Nr z dn.

Festiwal Jerzego Stuhra

26 Poskromienie oczekiwań

Dla adoratorek i adoratorów talentu Jerzego Stuhra drugi dzień festiwalu jednego aktora i reżysera był dniem kultowym. Stuhra można było oglądać, pytać, chłonać, czcić i podziwiać przez 12 godzin. Od rana na ekranie, a wieczorem na żywo. Z tego maratonu zapamiętam na pewno dwa fakty. Spotkanie z krakowskim aktorem po projekcjach filmowych i listy (drukowane w programie) Stuhra - reżysera do (i vice versa) Stanisława Barańczaka - tłumacza „Poskromienia złościcy” Szekspira, którą to komedię ten pierwszy wystawił na scenie Teatru Ludowego w Nowej Hucie.

Lektura prasowych recenzji z „Poskromienia złościcy” obiecywała pyszną zabawę i śmiech (do zrywania boków włącznie), ale musiałem nieco poskromić swoje oczekiwania, bo recenzje były trochę na wyrost. W „Przygotowaniu” i pierwszej części drażniły mnie warsztatowe potknięcia (dykcja!) młodych aktorów i brak czegoś, co Stuhra zrobił motywem przewodnim swojego spotkania z publicznością - szczerości i aktorskiej prawdy. Podobnie jak On drugiej części aktorzy trochę się rozkręcili i parę razy rzeczywiście mnie rozbawil. Pozytywne noty z czystym sumieniem mógłbym wystawić Piotrowi Urbankowi

(Petruchio), Krzysztofowi Góreckiemu (Hortensjo), Sławomirowi Sośnierzowi (Bakalarz). Tytułowa złościca Kasia w interpretacji Małgorzaty Kochan miała parę dobrych momentów, ale nie zaimponowała mi swoimi aktorskimi możliwościami. Zbyt to było zewnętrzne i bardzo skromne w aktorskich środkach. A rola to wspaniała, można dzięki niej zostać gwiazdą.

Stuhra-reżyser parę razy mnie zaskoczył, choć nie były to fajerwerki, których oczekiwałem. Stare, dobre chwytły rodem jeszcze ze studenckiego teatru za jego (teatru) najlepszych i najbardziej twórczych czasów. I tyle. Do jutra.

Krzysztof Kucharski 

DZIENNIK POLSKI
31-072 KRAKÓW
ul. Wielopole 1

5

7-01-99

W Teatrze Ludowym

**Pożegnanie
ze złośnicą**

Niemal 8 lat jest grany ten spektakl i wciąż ma powodzenie. Objechał całą Polskę: w Poznaniu Jan Kulczyk wydał bankiet dla zespołu, w Jeleniej Górze aktorzy zmuszeni byli grać trzeci spektakl tego samego dnia, tylu było chętnych, w warszawskim Teatrze „Małym” straż pilnowała budynku, obleganego przez tych, dla których brakło biletów.

I oto 20 stycznia ma odbyć się ostatnie, 225 z kolei przedstawienie. A skoro ostatnie, to nie zwykajne, a tzw. zielone. Czyli zwarowane. Będą dublowane obsady (Roman Gancarczyk i Krzysztof Radkowski, Piotr Urbaniak i Andrzej Deskur), mówi się, że aktorzy wyciągną dyrektora Fedorowicza na scenę, każąc mu grać jedną z postaci, że sami przygotowują niespodzianki... Słowem, niepowtarzalny wieczór.

A wszystko 20 stycznia, w środę, o godz. 17. Dyr. Jerzy Fedorowicz pragnie, by była to zarazem okazja do spotkania przyjaciół i dobroczyńców teatru i dlatego prosi ich o kontakt w sprawie zaproszeń.

A wszystko zaczęło się 5 czerwca 1991 r., kiedy na scenie Teatru Ludowego odbyła się premiera „Poskromienia złośnicy” Szekspira, w specjalnym dla tej sceny tłumaczeniu Stanisława Barańczaka, w reżyserii Jerzego Stuhra, w scenografii Elżbiety Krywskiej, z muzyką Jolanty Szczerby i choreografią Jacka Tomasika.

I teraz już koniec? A może jednak zdarzy się jeszcze 226 spektakl?

(WAK)